



*Przeklęte
dusze*

TOM 3

SOUL OF A WITCH

HARLEY LAROUX



HARLEY LAROUX

SOUL OF A WITCH

*Przeklęte
dusze*

TOM 3

Przełożyła Gabriela Iwasyk



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Soul of a Witch

Souls Trilogy

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agnieszka Nowak

Redakcja: Katarzyna Kusoń

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Projekt okładki: © Opulent Swag and Designs

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Wyklejka: © zzorik / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 by Harley Laroux

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint

of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Gabriela Iwasyk, 2024

Published by arrangement with Weaver Literary Agency

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.

Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8321-830-4

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Callum

Piekło – 2000 lat temu

Usłyszałem kiedyś od pewnego śmiertelnika: „Koniec wojny zobaczyli tylko polegli”. A jednak ja, jako nieśmiertelny, również musiałem to wszystko zobaczyć. Każdą wielką bitwę, każdy krwawy konflikt. Upadek każdego królestwa na Ziemi, w Niebie i w Piekło. Z bólem obserwowałem niezmordowaną maszynę śmierci nieustannie wypływającą kolejne trupy.

Przeklęty los nieśmiertelnego.

Chwytałem za broń, byłem świadkiem zagłady wspaniałych miast i końca tak wielu istnień – ja jednak trwałem. Piekło było ojczyzną nieśmiertelnych, ale nawet nas można było unicestwić.

Tak wielu z nas pożegnało się z życiem.

Rozległ się miękki dźwięk odsuwanej klapy namiotu. Byłem dowódcą, a to była moja adiutantka, Kimaris.

– Zwiadowca wrócił, mój panie.

– Zwiadowca? – Odwróciłem się w jej stronę. – Wysłaliśmy trzech.

– Tak, wodzu. Wrócił tylko jeden. – Jej głos nie zdradzał bólu, który dostrzegłem w jej złotych oczach.

Pola były pokryte popiołem. Miasta zrównane z ziemią. Młodzi ginęli. A wojna nadal się toczyła i zdawała się nie mieć końca.

Nie potrafiłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio płakałem nad czyjąś śmiercią. Nie było czasu na ceremonie, podczas których

żegnaliśmy zmarłych. Nie mogliśmy cieszyć się, że już są wolni, i pogodzić się z okrutnym losem, jaki ich spotkał.

Zginąć z ręki Boga oznaczało już na wieczność stać się Jego własnością. Twoje jestestwo wessane w Jego własne, potworne cierpienie twojego nieśmiertelnego istnienia, teraz sprowadzonego do roli żywiciela Jego nienasyconej potęgi. Horror nie do opisania, niewyobrażalny nawet dla nas, demonów.

– Ile czasu mamy? – zapytałem.

– Będą tu przed świtem.

W takim razie będziemy walczyć w nocy. Byliśmy ostatnią linią obrony, jedyną szansą na ocalenie dla miasta Dantalion. Jeśli Miasto w Chmurach zostanie zdobyte, stracimy Piekło. I będzie należało do Bogów.

– Callumie... – Zawahała się, po czym wbiła wzrok w trawę, choć przed oczami miała coś zupełnie innego. Coś, co sprawiło, że mimowolnie się skrzywiła. – Są z nimi Żniwiarze.

Ścisnęło mi się serce. Moja twarz była jednak wyprana z emocji. Pewnie wyglądała jak wykuta w kamieniu, nieruchoma i niezmienna. Niewzruszona.

– Chcę, żeby każdy wojownik był w gotowości. Przejdź przez obóz, niech wytrzeźwieją. To nie czas na zabawę.

– Tak jest, wodzu. – Kimaris odwróciła się, żeby odejść, ale pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia.

– Ten zwiadowca – powiedziałem. – W jakim jest stanie? Czy może wyruszyć w drogę?

Kiwnęła głową.

– Weź go na bok i dobierz jeszcze dwóch. Mają nie brać udziału w walce. Jeśli linia obrony zostanie przerwana, niech powrócą do Dantalionu, żeby ostrzec mieszkańców. Lepiej jest mieć niewiele czasu na ucieczkę, niż w ogóle go nie mieć.

Kimaris wyglądała jak rażona gromem.

– Miasto w Chmurach nigdy nie upadło – oznajmiła. – Nigdy.

– Duma każe nam wierzyć, że jesteśmy niepokonani. Bogowie są jednak coraz bliżej. Jesteśmy ostatnią linią obrony. Dantalion nie

upadnie, dopóki żyję. – Chodziłem po namiocie, strzelając palcami. – Przekaż im mój rozkaz, Kimaris, ale nikt inny ma się o tym nie dowiedzieć. Niech ta rozmowa zostanie między nami.

* * *

Na horyzoncie zbierały się wielkie kłęby białej mgły, które toczyły się w naszą stronę przez rozległe równiny. W oddali niebo przecięła błyskawica, przez moment oświetlając gargantuiczne kształty zbliżających się bestii.

Daleko za mną lśniło w ciemności Miasto w Chmurach, wydawało się, że jego blask sięga niebios. Tęskniłem za jego ciepłem, wijącymi się uliczkami, czuwającymi nad nim wieżami ze lśniącego onyksu. Odsunąłem jednak od siebie te uczucia, bo teraz moje serce musiało być twarde.

Gdybym się zawahał, gdybym nie skupił się wyłącznie na rozlewie krwi, Dantalion byłby stracony.

Za moimi plecami zebrała się piekielna armia, młode i stare demony. Nad naszymi głowami zgromadziły się ciemne chmury, zasłaniając nocne niebo i srebrne światło bliźniaczych księżyców.

– No i zaczęło padać – zauważyła Kimaris, gdy spadły na nas pierwsze ciężkie krople. – Jak myślisz, ilu ich jest? – wyszeptwała.

Wpatrywaliśmy się w nadciągającą mgłę. Z tej odległości niewiele dało się dojrzeć, ale słyszałem dobiegające stamtąd krzyki. Przesiąknięte cierpieniem, rozpaczliwe wołanie istot pochłoniętych przez Bogów. Nieważne, śmiertelnych czy nieśmiertelnych – ich dusze zostały skazane na wieczną udrękę przez Bogów, istoty żywiące się cierpieniem. Bogowie mieli ogromne, ulegające nieustannej przemianie kształty.

Przed nimi, jak wielkie czarne cienie, lecieli Żniwiarze. Mieli na sobie ozdoby z kości, a zza całunów lśniły liczne oczy. Ich zwierzęce i wygłodniałe wrzaski przeszywały noc. Wtórowało im wycie Eldów, mniejszych bestii, zgrzytających zębami i czołgających się u stóp swoich panów.

– Nieważne, ilu ich jest – powiedziałem. – Nie zatrzymamy się, dopóki choć jeden będzie przy życiu.

Odwrociłem się tyłem do zbliżającej się mgły i spojrzałem na moich wojowników. Kły szczękały ochoczo – to był nasz okrzyk wojenny. Wiele demonów naostrzyło pazury albo wzmocniło je metalowymi nakładkami. Niektóre dzierżyły masywną broń zrobioną z eteru, metalu lub kamienia, ostrza lśniły w świetle księżyca.

Za ich plecami błyszczało Miasto w Chmurach, a ja – patrząc na nich – widziałem koniec tej wojny.

Nie wiedziałem, czy będę żył wystarczająco długo, aby stać się tego świadkiem. Ta wojna jednak musiała dobiec końca.

– Mieszkańcy Piekła! – Mój głos zabrzmiał donośnie, docierając nawet do demonów stojących w najdalszych rzędach. – Niektórzy z was żyją już tak długo jak ja. Widzieliście, jak świat się zmienia, widzieliście wybuchające wojny i upadające miasta. Ale niektórzy z was są świadkami wojny po raz pierwszy. Patrzycie, jak giną wasi przyjaciele i kochankowie, a ulice naszych miast spływają krwią.

Odpowiedzieli zgodnym okrzykiem:

– Chwała poległym! Chwała poległym!

Kiedy ostatni raz widziałem stos pogrzebowy? Kiedy było wystarczająco spokojnie, żeby rozsypać na wietrze prochy bliskich? Gdy na nich spojrzałem, dostrzegłem strach i wściekłość. Już nie było w nich nadziei. Zobaczyłem setki istnień gotujących się na śmierć.

Wyprostowałem się ze słowami:

– Dantalion liczy na nas, a my nie pozwolimy miastu upaść! Widziałem was, walczyłem z wami... – Kroczyłem wzdłuż pierwszego szeregu, patrzyłem im w oczy, dotykałem ich ramion. Chciałem, żeby zrozumieli, że mają wodza, któremu obcy jest strach. – Widziałem, jak skąpani we krwi Eldów wrywacie Bogom serca. Byłem świadkiem waszej zaciętości. Dzisiaj ruszymy do boju, wykrzykując imiona tych, których straciliśmy. Chwała poległym! Nie zapominajcie jednak o żywych. Nie zapominajcie o walczących z wami ramię w ramię ani o tych w dalszych szeregach. Im też należy się chwała!

Zadźwięczała broń, wojownicy wydali z siebie wojenny okrzyk. Podniosłem rękę i przesunąłem klingą po wnętrzu dłoni, aż krew pociekła mi po nadgarstku. Wielu żołnierzy podążyło za moim przykładem, bo żaden demon nie chciał dać wrogowi satysfakcji upuszczenia sobie pierwszej krwi.

– Będziemy patrzeć, jak słońce wschodzi nad ich martwymi ciałami! – wrzasnąłem. – To pole bitwy nasiąknie ich krwią! Żadna istota, nawet Bóg, nie zabierze Piekła jego rodowitym mieszkańcom!

Wycie i krzyki, które się rozległy, były tak donośne, że zagłuszyły przerażające wrzaski naszych wrogów. Rozpostarłem skrzydła w stronę nieba i patrzyłem, jak nadchodzą. Długie macki białej mgły przesunęły się w naszą stronę, a hałas dochodzący z tamtej strony był coraz głośniejszy. Ciemność zadrżała od nagłego ruchu przypuszczających atak olbrzymów.

– Śmierć wzywa! – krzyknąłem. – Dziś jednak nie odpowiecie na jej wezwanie. Dziś będziecie walczyć, a śmierć pożywi się waszymi wrogami! Piekło jest nasze! – Z hukiem głośnym jak uderzenie pioruna skrzyżowałem klingi mieczy, załomotałem skrzydłami i wzbiłem się w powietrze. Pierwsze smugi mgły dotknęły mojej twarzy, zimne jak lód i nasiąknięte przepełnionymi cierpieniem szeptami.

Wyszczerzyłem zęby. Nade mną zawisł ogromny kształt.

– Śmierć wzywa – mruknąłem pod nosem. – Śmierć wzywa.

Uniosłem broń i stawiałem czoła Bogom.

* * *

Słońce, ta czerwona jak krew kula unosząca się na bladoszarym niebie, niemiłosiernie prażyło, a ja snułem się po zasłanym trupami polu bitwy.

Powietrze przesiąknięte było odorem spalonych ciał i rozkładu. Po polu rozrzucone były szczątki, a kałuże krwi powoli wsiąkały w ziemię. Wszędzie leżeli martwi Bogowie, ich ogromne zwłoki topiły się i zamieniały w bryły drżącego mięsa, otoczone

kępami fosforyzujących grzybów. Konający Żniwarze z połamanymi skrzydłami i zmasakrowanymi ciałami rzucali w moją stronę przekleństwa, kiedy koło nich przechodziłem.

Wokół ścieliły się ciała moich pobratymców. Demony, które znałem, u których boku walczyłem. Demony, które kochałem, które miały na sobie ofiarowane przeze mnie metal i klejnoty.

Gdy ich odnajdywałem, zdejmowałem z siebie jeden po drugim kolczyki, którymi mnie obdarowali. Wryrywałem je – lśniące od klejnotów, zdobiące moje uszy, usta, brwi. Nie czułem bólu. Ból fizyczny był niczym w porównaniu z tym, co przeżywałem.

Wlokąc za sobą bezwładne skrzydło, ukląknęłam przy kolejnym ciele. Było całe we krwi, ale poznałem tę twarz. Ryker. W wardze miał mój metalowy kolczyk; pamiętałem, jak się cieszył, kiedy mu go dałem. Spędziliśmy razem pełną uniesień noc, zanim nadszedł poranek i kolejny dzień walki.

Jeżeli tego właśnie trzeba było, żeby ocalić Piekło, być może nie powinienem był się na to porywać.

Zamknąłem jego szeroko otwarte szkliste oczy. Następnie przełknąłem ból i pozwoliłem, żeby rozsiadł się na mojej piersi, sprawiając mi tym samym niewyobrażalne katusze. Nie spocznę, dopóki nie odnajdę ich wszystkich. Każdego z osobna. Nie miałem zamiaru pozwolić, żeby choćby jeden z moich wojowników odszedł w Pustkę, na drugą stronę bez pożegnania.

Zza nieruchomych smug dymu wyłaniało się Miasto w Chmurach. Iglice i lśniące wieże ozdobione onyksem i szmaragdami przeszywały niebo jak zęby bestii. Nad miastem górowała wspinała cytadela Lucyfera, a najwyższa z jej wież znikwała w chmurach.

Okrzykną mnie bohaterem. Będą uczyty, hulanki, orgie. Alkohol przez wiele dni będzie się lał strumieniami. Piekło zostało ocalone, wygraliśmy tę wojnę.

Lucyfer obsypie mnie swoimi łaskami. Naznaczy mnie, tak jak od bardzo dawna pragnąłem. Tym samym osiągnę wszystko, co było do osiągnięcia.

Arcydaemon.

Równy królom.

Obdarzany czcią.

Tyle że wcale tego nie chciałem.

Odwrociłem się plecami do miasta, za które tak wielu oddało życie, i powlokłem się przed siebie. W głowie słyszałem odbijający się nieskończonym echem głos wołający moje imię. Słyszałem krzyki swoich wojowników, które dla mnie już nigdy nie zamilkną.

Z kłębiącego się przede mną dymu wyłoniła się postać. Nie był to ani demon, ani bestia. Śmiertelna kobieta z długimi, jasnymi włosami, które były wilgotne i brudne. Miała na sobie wysokie buty i spodnie, ale jej ubrania nie przypominały tych, które widywałem na Ziemi czy w Piekło. Głowę miała pochyloną, a ramiona przygarbione, trzymała się za bok.

Pociągnąłem nosem.

Poczułem na języku krew, cukierkową słodycz, owoce leśne, miód...

Była wiedźmą.

Wiedźmy szukały demonów tylko z jednego powodu – żeby przejąć nad nami kontrolę. Potrafiły nas zmusić do nagięcia się do swojej woli, jeśli tylko udało im się odkryć nasze prawdziwe imię.

Ta wiedźma wydawała mi się jednak znajoma. Jakbym zobaczył odmienioną przez upływ czasu twarz dawno niewidzianego przyjaciela. Ale to przecież niemożliwe. Nigdy nie zadawałem się z czarownicami.

Nagle uniosła głowę i spojrzała na mnie. Jej oczy lśniły jak szafiiry, jasne i piękne pośród krwawego pobojuwiska. Staliśmy w milczeniu naprzeciwko siebie, a jej zapach owiewał mnie jak upajające perfumy.

Oszałamiająca, zniewalająca, kusząca ambrozja.

Wtedy przemówiła, a mój świat nagle stanął na głowie.

– Callumie... proszę... pomóż mi...

Everly

Ziemia – 7 lat temu

Czterdzieści minut po północy wśród drzew rozległ się okrzyk:

– Znaleźliśmy ją! Żyje! Znaleźliśmy Juniper!

Członkowie ekipy poszukiwawczej wydawali radosne okrzyki i obejmowali się nawzajem. Wielu pospiesznie ruszyło naprzód, żeby jak najszybciej zobaczyć odnalezioną dziewczynę. Z oddali dobiegał sygnał pędzącej na sygnale karetki, ale ja usłyszałam również coś innego.

Krzyki Juniper słyszać było już z daleka, co stłumiło entuzjazm ludzi od dwóch dni przeczesujących las w nadziei, że odnajdą ją całą i zdrową.

Moja matka stała nieopodal, obejmując trzynastoletniego Marcusa Kynesa. Matka Juniper nie brała udziału w poszukiwaniach, ale jej młodszy brat się pojawił. Oczy miał szeroko otwarte, a ręce wciśnięte głęboko w kieszenie niebieskiej wiatrówki.

– Czy jest ranna? – Wydawał się rozdarty pomiędzy chęcią pościgu w stronę, z której dobiegał hałas, a ucieczką w przeciwnym kierunku. – Dlaczego tak krzyczy?

Mama spojrzała na mnie, ale szybko odwróciła wzrok, przełknęła ślinę i ścisnęła ramię Marcusa. Zrobiło mi się niedobrze. Zmusiłam się, żeby zamknąć oczy i policzyć do dziesięciu, jednocześnie biorąc głęboki wdech.

Czy mama nadal miała krew Juniper pod paznokciami? A może już się jej pozbyła, tak jak wyszorowała do czysta drewnianą podłogę w kościele?

Owinięta w gruby koc Juniper szła z dwoma mężczyznami, którzy mocno ją trzymali, żeby im się nie wyrwała. Ludzie szeptali między sobą, gapiąc się w jej szeroko otwarte oczy i na zakrwawioną klatkę piersiową.

– Pocięła się – wyszeptał ktoś za mną. – Zawsze mówiłem, że z tymi Kynesami coś jest nie tak. Wszyscy ćpają, co do jednego.

Poinstruowano nas, żebyśmy rozsiewali właśnie taką plotkę – Juniper sama to sobie zrobiła. Ześwirowana dziewczyna z jeszcze bardziej ześwirowanej rodziny.

W ten sposób nikt nie weźmie na serio oskarżeń, które będzie rzuciła.

– Potwory! – krzyczała Juniper. Szarpała się z ludźmi, którzy ją uratowali, rzucała się na ziemię i bez przerwy odwracała, żeby spojrzeć w stronę lasu. – Tam są potwory! W lesie! One... one wyszły z ziemi... z kopalni! – wrzasnęła ponownie, wczepiając się w ręce ratowników, żeby ich odepchnąć. Tymczasem nadjechał ambulans, a z jego środka wyskoczyli sanitariusze z noszami. Jeden przygotował strzykawkę, a Juniper znieruchomiała i spojrzała ze zgrozą na igłę. – Nie! Zabierzcie to ode mnie! Przestańcie... przestańcie!

Z całej siły zacisnęłam ręce za plecami. Dobry Boże, dlaczego ona żyła?

Juniper opadały powieki, jej krzyk był coraz słabszy. Nagle jej wzrok spoczął na mnie. Podniosła drżący palec, a ja poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku, bo zauważyłam, że ma całkowicie zdarty paznokieć.

– Ty tam byłaś – powiedziała. Próbowwała rzucić się w moją stronę, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Sanitariusze musieli podnieść ją z ziemi. Choć jej ciało było takie słabe, Juniper nie odpuszczała. – Ty tam byłaś, Everly! Widziałas... powiedz im... powiedz im, proszę!

Nagle pobladła, a ja poczułam opiekuńczy dotyk ciepłej ręki na moim ramieniu.

– Powinnaś iść do domu, Everly. – Głos ojca był spokojny, a ja poczułam się lepiej, gdy tylko go usłyszałam. Papa za każdym razem wiedział, co zrobić, co powiedzieć. Rozumiał, że podążanie właściwą drogą nie zawsze jest łatwe.

Czasami jest przerażające. Czasami wymaga robienia podłych rzeczy.

– To byłeś ty! – wrzasnęła Juniper, szczerząc zęby i ostatkiem sił rzucając głową, gdy ją kładziono na nosze. – Ty to zrobiłeś! To ty zostawiłeś mnie tam na dole! Jesteś potworem, Kencie Hadleigh! Ty i ta suka, twoja córka! Victoria! – Juniper zanosła się śmiechem, kiedy wyrzuciła z siebie imię mojej przyrodniej siostry, histeria wzięła górę nad jej przerażeniem. Ratownicy załadowali nosze do karetki, ale Juniper zdołała jeszcze raz obejrzeć się w moją stronę i wycedziła z nienawiścią w głosie: – A ty się temu przyglądałaś. Patrzyłaś i nic nie zrobiłaś.

* * *

Tamtej nocy sala rozpraw była pełna.

Odkąd stary gmach sądu został przekształcony w siedzibę Towarzystwa Historycznego w Abelaum, pomieszczenie to było używane jedynie w czasie spotkań członków i ofiarodawców tego zrzeszenia. A przynajmniej takiej wersji się trzymaliśmy. Zresztą ponad dwudziestu ludzi, którzy tu się zebrali, faktycznie było dobroczyńcami Towarzystwa. Wszyscy szczerze wspomagali cele mojego ojca – swoim czasem, pieniędzmi i lojalnością.

Lojalność względem mojego ojca oznaczała lojalność względem Libiri. Dzieci Istoty z głębin, czciciele Jego wielkiej mocy. Tylko my dostąpimy dobrodziejstw Jego łaski, kiedy wreszcie zostanie uwolniony. Kiedy zrealizujemy swoje cele, nasz Bóg będzie wolny, świat się zmieni, a na nas spłynie Jego łaska.

Dzisiejszego wieczoru oddaliliśmy się jednak od swoich celów. Nie wyglądało to dobrze.

Wystraszeni wyznawcy zgromadzili się w sali rozpraw na dole, a moja rodzina zebrała się na poddaszu. Atmosfera była napięta, tak jakby zdenerwowanie zebranych pod nami czcicieli – wykręcanie rąk, przebijanie nogami i niepewne szepty – przeniknęło na strych i wypełniło stęchłe powietrze. Zadrżałam na groźny pomruk grzmotu w oddali i wlepiłam wzrok w sufit, jakby lada chwila miał nam się zwalić na głowy.

Nie mieliśmy pojęcia, jak przerażająca może być wściekłość Istoty z głębin. Jeszcze nie.

Dzięki temu, że spoglądałam w górę, nie musiałam oglądać potwornego widowiska rozgrywającego się u moich stóp – Leon, zniewolony przez mojego ojca demon, wił się w kręgu uroku. To właśnie na nim ojciec wyżywał się za dzisiejszą porażkę.

Kent Hadleigh zawsze był spokojnym człowiekiem. Opanowanym, skupionym, elokwentnym. Dlatego ludzie mu ufali i uważali go za świetnego przywódcę. My, jego bliscy, wiedzieliśmy jednak, że tuż pod pozornie spokojną powierzchnią buzuje wściekłość. Słuszny gniew, któremu ojciec dawał ujście, gdy tylko znalazł się za zamkniętymi drzwiami.

Demony z łatwością dochodziły do siebie, nawet mocno poturbowane, ale tym razem ciało Leona przypominało krwawą miazgę. Słowa, których używał ojciec, żeby sprawić mu ból, były wstrętne i pełne nienawiści.

– *Scissa carne* – wyrecytował ponownie, a Leon wydał z siebie zdławiony okrzyk. – *Cum ardenti sanguine*.

Poczułam zapach palonego ciała i zrobiło mi się niedobrze. Szybko zerknęłam w kierunku matki, która stała tuż za kręgiem uroku, mrużąc coś pod nosem. To ona narysowała ten krąg – obręcz, linie, runy, a wszystko po to, by uwięzić w jego wnętrzu potężnego mieszkańca Piekieł. Wypowiadane przez nią zaklęcia nadawały moc słowom ojca, bo on sam nie posługiwał się magią.

Na moment zapadła cisza, w której słychać było jedynie ciężki oddech Leona, po czym ojciec gniewnie warknął:

– Ona ma piętnaście lat! Nie zdołałeś złapać pieprzonego dziecka! Naprawdę sądziłeś, że się nie zorientuję, że zrobiłeś to celowo?

Stojący obok mnie Jeremiaś, mój przyrodni brat, uśmiechnął się pod nosem z sadystyczną satysfakcją. Victoria, moja przyrodnia siostra, wydawała się znudzona, podobnie jak jej matka. Cierpienie, którego były świadkiem, nie robiło na nich absolutnie żadnego wrażenia, a rozpaczliwe krzyki jakby nie docierały do ich uszu.

– *Scissa carne!*

Spojrzałam w oczy matce, stojącej po drugiej stronie kręgu uroku. Jej jasne włosy były związane, a błękitne oczy ciemne od mocy, jak zawsze, kiedy używała magii. Matka potrafiła rzucać zaklęcia bez użycia słów, wystarczyła jej sama intencja i skupienie, żeby władać żywiołami, wprawiać w ruch przedmioty i sprawiać, by robiły dokładnie to, czego chciała.

Z kolei ojciec, żeby użyć magii, potrzebował książeczki, którą teraz mocno ścisnął w dłoniach. Był to grymuar, od pokoleń przechodzący w naszej rodzinie z ojca na syna, dzięki któremu każdy kolejny patriarcha rodu mógł nie tylko stosować magię, ale również wydawać rozkazy demonowi, którego znak był w nim zapisany.

Z wyjątkiem kilku zaufanych wyznawców nikt nie wiedział, kim naprawdę jest Leon. Wyglądał prawie jak człowiek – demony zwykle tak wyglądały. Kiedy miały okazję, nie tylko w mgnieniu oka zabijały ludzi, ale i rozkoszowały się naszym bólem. Albo gorzej, podstępnie namawiały do oddania duszy, oferując w zamian coś, czemu człowiek nie mógł się oprzeć.

A gdy sprzedawałeś duszę, nie było już odwrotu. Stawałeś się ich własnością na wieczność, przywiązany do demona i skazany na Piekło.

Ojciec mówił, że to los gorszy niż śmierć.

Ludzie spoza rodziny myśleli, że Leon jest zatrudnionym przez ojca ochroniarzem z prywatnej firmy. Tak samo było, kiedy służył mojemu dziadkowi, wcześniej jego ojcu i tak dalej, i tak dalej, aż do

człowieka, od którego to wszystko się zaczęło – Morpheusa Leighmana. To on odkrył obecność Istoty z głębin i jako pierwszy zaczął oddawać Mu cześć.

Podobnie jak mój ojciec, Morpheus nie był czarownikiem. Ród ojca nie miał we krwi magicznych umiejętności. Moja matka potrafiła używać magii, ja jednak zostałam obdarzona zaledwie jej okrucami, splątanymi nitkami mocy, które z największym trudem czasem udało mi się odpłatać, a o których kontrolowaniu mogłam w ogóle zapomnieć.

Ale – jak mój ojciec często powtarzał – młoda kobieta nie potrzebowała mocy. Wystarczał jej uległy umysł i posłuszne serce.

Wreszcie ojciec uznał, że czas już kończyć. Wziął głęboki oddech i przeczeszał palcami krótkie, siwiejące włosy.

– Natychmiast wracaj do domu, do swojego pokoju – zwrócił się zachrypniętym głosem do demona, który leżał skulony na podłodze w kałuży krwi. – Nie wolno ci opuścić kręgu uroku, dopóki ci nie rozkażę tego zrobić.

Leon zacisnął złote oczy, po czym zniknął, pozostawiając po sobie smugę dymu. Ramiona mi opadły, napięcie, którego nawet nie byłam świadoma, gwałtownie puściło. Mama uklękła, żeby zetrzeć szmatką narysowany kredą krąg uroku, a Meredith obserwowała ją, marszcząc z obrzydzeniem nos. Nienawidziła nas. Byłam żywym dowodem niewierności jej męża, dowodem, który przez cały czas miała przed oczami.

Obecność żony i kochanki ojca w tym samym pokoju wydawała się przepisem na prawdziwą katastrofę. Bez wątplenia tylko kiepski humor ojca powstrzymywał Meredith przed powiedzeniem czegoś niegrzecznego.

– Doprowadź się do porządku – warknął ojciec, z irytacją poklepując Jeremiaha po ramieniu, po czym szorstko poprawił mu marynarkę. – Gdy tam wejdziemy, oczy wszystkich będą skierowane na ciebie. – Spojrzał na mnie takim wzrokiem, że aż się skuliłam. – A ty weź się w garść. Nie mogą mieć cienia wątpliwości, że panujemy nad sytuacją.

– Dobrze, ojcze. – Powiedziałam tak cicho, że nie byłam pewna, czy w ogóle mnie usłyszał. Opuścił poddasze, a my podążyliśmy za nim. Jeremiah deptał mu po piętach, potem szła Meredith, za nią Victoria, a na końcu moja matka i ja. W drodze do sali rozpraw mama zimną dłońią ścisnęła mnie za rękę.

Dzisiejszego wieczoru powinniśmy byli zebrać się w kościele pod wezwaniem świętego Tadeusza. Był to najstarszy kościół w Abe-laum, został zbudowany ponad sto lat temu, a my wybraliśmy go na miejsce kultu naszego Boga. Ale w lasach wokół świątyni oraz położonego w pobliżu szybu górniczego White Pine nadal roilo się od funkcjonariuszy lokalnej i stanowej policji, którzy przetrząsali okolicę w poszukiwaniu wskazówek, co dokładnie przytrafiło się Juniper. Lokalna policja siedziała w kieszeni u mojego ojca, ale pozostali stanowili dla nas poważne zagrożenie.

Jeśli dotrą do kościoła, to czy odkryją tam ślady krwi? Czy zorientują się, że świece jeszcze niedawno się paliły, kurz z ławek zniknął zmieciony przez białe tuniki, a w powietrzu nadal unosi się ziołowy zapach kadzidła? Czy będą obwiniać moją matkę? Ojca? Siostrę? Mnie?

Oczy mamy były otwarte, ale myślami znajdowała się daleko stąd. Potężne więdźmy, takie jak ona, umiały przenieść swoje duchowe „ja” za Zaslonę, w bezkresny obszar znany jako Betwixt, miejsce poza czasem i przestrzenią.

Doświadczone więdźmy, a mama bez wędźpienia taką była, potrafiły tam się przenieść, ale było to niebezpieczne. Mama nigdy nie pozwoliła mi podjąć takiej próby.

W Betwixcie można było zobaczyć i odkryć wiele rzeczy. Na przykład podróżować w czasie, zaglądać w przyszłość lub w przeszłość, nawiązać kontakt z duchami lub innymi istotami nie z tego świata, nawet z samym Bogiem.

Drzwi do sali rozpraw otworzyły się z hukiem, wyznawcy wzdrygnęli się z trwogą na widok ojca krocącego między rzędami ławek w kierunku podwyższenia. Reszta rodziny zajęła miejsca z przodu pomieszczenia: Meredith, Victoria i Jeremiah po jednej stronie, a matka i ja – po drugiej.

PAPIEROWE SERCA

TO MIŁOŚĆ Z KAŻDEJ STRONY!



Wydawnictwo Papierowe Serca powstało z miłości do książek o... miłości – od niewinnej i młodzieńczej po dojrzałą i rozpalającą zmysły. W naszym katalogu znajdziecie wciągające powieści New Adult z ulubionymi motywami, romantyczne historie z elementami fantastyki oraz niegrzeczne książki z nutką pikanterii.



 WYDAWNICTWO PAPIEROWE SERCA
 WYDAWNICTWOPAPIEROWESERCA
 PAPIEROWESERCA
 PAPIEROWE_SERCA